

# Kaleka, czyli każdy

Ilekróć na afiszu pojawia się taka sztuka, jak „Kaleka z Inishmaan”, ogarnia mnie zazdrość. Zadaję sobie pytanie, dlaczego polscy autorzy nie potrafią pisać takich dramatów. „Takich”, to znaczy nie ulatujących w metafizyczno-groteskowe przestworza, bliskie ziemi, bliskie człowieka. Do grania i do myślenia. Bliskie ludzkiemu doświadczeniu, a jednak nie bulwarowe sztuczki, tylko dramaty pełnokrwiste, w których czuje się namiętności, niewymyślone konflikty i marzenia. Nie wiem, może takie sztuki powstają, a tylko teatr ich nie znajduje? Tak czy owak po raz ostatni znalazł „Antygonę w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego i od tej pory o nowych znaleziskach nie słychać.

**N**a szczęście z kłopotu od czasu do czasu wybawiają nas Irlandczycy. W każdym razie wybawiają stołeczny Teatr Powszechny, w którym współczesny dramat irlandzki jaśnieje od dobrych kilku lat. Po niedawnej świetnej premierze „Molly Sweeney” Briana Friela na Małą Scenę Powszechnego wszedł właśnie „Kaleka z Inishmaan” Martina McDonagha. Autor jest młody (29 lat), zaledwie przed trzema laty debiutował, tym większa zasługa tłumaczki (Małgorzata Semil) i teatru, że go wypatrzyli.

Pomysł jest prosty, bez mała plakatowy. Oto w latach 30. (bo wówczas toczy się akcja) na niewielkiej wysepce irlandzkiej żyją zwykli ludzie, a wśród nich osierocony kaleka. Pewnego dnia pojawia się niedaleko ekipa filmowa z Hollywoodu, poszukująca gwiazdy. Chłopak marzy, aby wyrwać się z wysepki i swego dopina ku rozpaczcy swych przyszywanych ciotek i zazdrości innych. A potem wraca. To właściwie wszystko, co można opowiedzieć, aby nikomu nie odebrać przyjemności śledzenia fabuły, choć nie w niej kryje się tajemnica sukcesu tego dramatu. McDonagh przedstawił bowiem precyzyjną

fotografię lokalnej, prowincjonalnej społeczności, z jej ograniczeniami, niedokształceniem, kompleksami, tęsknotami i naleciałościami.

Kaleką jest młody chłopak, ale właściwie wszyscy cierpią na jakieś niedobory albo nadmiary emocji, wszyscy są psychicznymi kalekami. Jedna z ciotek rozmawia z kamieniami, kiedy szuka kogoś sobie bliskiego, druga zajada się cukierkami glusząc nerwice. Sąsiad żebra o jajka, a choćby i puszkę z groszkiem, uganiając się za nieważnymi wiadomościami, którymi handluje jak domokrążca. Jego matka tego popija. Helen popisuje się chamskimi manierami, wyzywa wszystkich i tłucze jajka. Jej brat niedołęga wyśmiewa się z innych, ale sam słabo orientuje się w swojej sytuacji, a Babbybobby pięścią i pałką wyrównuje rachunki z losem. Wśród nich krąży lekarz, który już dawno stracił nadzieję, że kogokolwiek uleczy.

Te z gruba określone sylwetki aktorzy wypełniają życiem, dodają im wewnętrznego blasku i siły, bronią przed jednostronnym i niezasłużonym potępieniem, wydobywając spod skorupy odruchów, nieprzyjaznych warknięć i gruboskór-

nych zachowań ukryte piękno. Autor dobrotnie sugeruje, że w każdym tłucze się dusza anielska, tylko diablo wstydlawie skrywana. Artyści Powszechnego odsłaniają tę anielską twarz, nie skapiąc i diabelskich grymasów. Wszyscy grają jak natchnieni. Dawno nie widziałem spektaklu tak doskonale wewnętrznie zharmonizowanego, tak spójnego i jednocześnie tak emocjonalnie mądrego.

Wyróżnić trzeba wszystkich współtwórców tego skromnego przedstawienia, które jest doprawdy wielkim, bo o wielką stawkę się tu gra – o szczęście człowieka. Więc na początek ciotki: rozdygotana i wrzuszająca Elżbieta Kępińska, wiecznie odkurzająca stare puszkę z konserwowym groszkiem; pozornie oschła, zakompleksiona, bo świadoma swego nieokrzesa Grażyna Marzec; obie zakochane w przybranym krewniakowi po uszy, choć nie dają tego po sobie poznać. Ich sąsiad, wszędobylski Johnny Władysław Kowalskiego, myslzący nerwowo wzrokiem i uchem niezmordowany „dziennikarz” z bożej łaski, twardziel o miękkim sercu; jego matka po 90-tce, gustująca w mocnych



Grażyna Marzec i Elżbieta Kępińska

trunkach Mammy Wiesławy Mazurkiewicz, szczerza aż do bólu i nieco zdzienniała.

Piękna, aż wyzywająca Helen Edyty Olaszówki, na pozór wulgarna i wojownicza, a tak naprawdę pełna powabu dziewczyna o sentymentalnym wnętrzu. Jej brat, któremu rozbija jajka na głowie (dosłownie!), w powyciąganym podkoszulku, łajzowaty, gamoniowaty lasuch Rafała Królikowskiego, który godzinami może poządlawie wpatrywać się w słoń z cukierkami w poszukiwaniu żelków-melków. Nieprzejednany wróg wszystkiego, co odmienne, a więc i kalek, owdowiały młodo Babbybobby Michała Zielińskiego, chłopak, który koniecznie chce okazać zło. I lekarz miejscowy, rzetelny, wszystko już widział, ale ciągle zadziwiony światem Krzysztof Stroński. Wszyscy oni pod reżyserską batutą Agnieszki Glińskiej i Władysława Kowalskiego grają wyśmienicie, przekonująco, prawdziwie. Nietawo było na takim tle zaistnieć najmłodszemu w zespo-

le, odtwórce roli tytułowej, Łukaszowi Garlickiemu. A jednak dotrzywał kroku mistrzom. Jeszcze student warszawskiej Akademii Teatralnej pokazał nie tylko swoją głęboką wrażliwość, talent i młodzieńczą gorliwość, ale także zdyscyplinowanie – poddał się bowiem całkowicie rytmom spektaklu, współtworząc jego nastrój, dodając do nich autentyczne emocje cierpiącego chłopca, tęskniącego za miłością.

**Polecam państwu ten spektakl – idźcie koniecznie do Powszechnego, żeby spotkać się z prawdą ludzkich uczuć i przeżyć ożywcze katharsis. Można je odnaleźć, jak się okazuje, także we współczesnym dramacie. Z Irlandii do Polski bardzo blisko.**

Martin McDonagh, „Kaleka z Inishmaan”, tłum. Małgorzata Semil, reżyseria: Agnieszka Glińska, Władysław Kowalski, scenografia: Magda Maciejewska. Mała Scena Teatru Powszechnego w Warszawie. Premiera – luty 1999